

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[24]



Dzieweczyna i kogut.

DZIEWCZYNA I KOGUT.

DZIEWCZYNA.

Radź kogutku co mam mała
Czynić nieszczęśliwa,
By mię matka nie łajała
Żem śpioch i leniwa?

KOGUT.

A i cóż ja ci poradzę
Dziewczyno kochana,
Miejże proszę na uwadzę,
Że cię budzę z rana,
Lecz choć głośno kukuriku!
Pieję ledwo świta,
A ty mieszkasz przy strumyku,
Jeszcześ nie umyta!
Wstawszy, skaczesz jak dzierlatka,
A dnia wciąż ubywa;
Oj! ma słuszość twoja matka
Żeś śpioch i leniwa!

Odwrócił się kogut w gniewie,
Od dziewczyny małej,
A dwa wróble tam na drzewie
Z śpioszki się rozśmiały.

OSADA POLSKA W AMERYCE.

Młodzi czytelnicy nasi wiedzą zapewne, że na drugiej półkuli świata, mieszczą się osady z różnych narodowości europejskich, które szerząc dokoła cywilizacyą, tworzą zarazem jakby oddzielne prowincye, zamieszkałe przez ludzi jednego plemienia. Kształcąc się we wszystkiem na wzór Europy, nadają nazwy miast jej, stronom które zamieszkują i tak, obok nazwisk znaczniejszych miejscowości różnych krajów, znaleźć tu można „Nową Warszawę” „Nowy Kraków” a nawet „Nowy Radom” i „Lublin”. Ale osada o której mówić zamierzamy nie szczyci się tak znanem nazwiskiem, zasługuje wszakże na uwagę, mieszcząc stowarzyszenie kobiet polskich pełnych poświęcenia, które powołane do pracy dla dobra dalekich bliźnich, przez gorliwego kapłana, apostoła tamtych okolic, przebyły Ocean aby dzielić jego trudy. Siostry zakonne reguły Ś-go Feliksa, zajmujące się głównie nauczaniem ubogich dzieci, wezwane przez księdza Dąbrowskiego zamieszkałego w Stanie Wisconsin (w Ameryce północnej), przybyły tu aby mu dopomagać do pobożnego dzieła w osadzie złożonej z grona Szlązaków. W jesieni 1874 roku ma-

tka Monika starsza w zgromadzeniu, udała się do Ameryki z czterema towarzyszkami, mając na pokrycie kosztów podróży szczupłą uzbieraną kwotę z ofiar ludzi dobrej woli. Przybywszy do Hamburga doznały tam już różnych niepowodzeń, któremi wszakże niezrażone, z dobrą otuchą wsiadły na statek parowy Gottland, mający je do Leith'u dostawić. Jedna z sióstr zaczęła wtedy pisać dzienniczek (umieszczony w *Missyach katolickich*) dla zostawionych w Europie towarzyszek, z którego przytaczamy tu wyjątki, mniemając że starczą za najlepszy opis tej ciekawej podróży.

„Mamy kajutę pierwszej klasy, mówi siostra, tak dużą, że się w niej pomieści pięć osób, a w niej łóżka urządzone tak jak nam to wpierw opowiadała matka Monika, to jest podobne do karawanu, jedno nad drugim; sala do jedzenia i siedzenia wspólna, nikt nie mówi inaczej tylko po angielsku.

„Statek ruszył około 1 po północy. W nocy dobrze było, ale rano najpierw matka Monika musiała się położyć na zawrót głowy, potem po jednej moje obie siostry i tak wszystkie leżą, choć jeszcze nie w najgorszych warunkach, bo po śniadaniu, a jest około 12 godziny. Ja tylko siedzę w środku nich i na trzęsącej desce piszę, co mi do osłabionej głowy przyjść może“.

Były to dopiero początki cierpień. Przebywszy szczęśliwie podróż koleją z Leith'u do Glasgowa, w tém ostatniem mieście portowém, wsiadły na okręt dnia 27 Października i wypłynęły na pełne morze. Choroba morska powaliła wszystkie na łóże „podobne do karawanów“. W dodatku sroga burza, dwie noce i jeden dzień trwająca, postawiła biedne siostry prawie u drzwi śmierci. To też siostra Kajetana po przybyciu do Nowego Yorku pisze:

„Jeżeli kto nie umie się na śmierć przygotować, niech przebędzie, tak okropną noc na Oceanie, niech spojrzy na morze, na te fale tak podniesione, że niema przedziału od obłoków, już nie w dali, ale tuż obok okrętu, tak, że dają wyobrażenie tego co było zanim wszechmoc Boża rozdzieliła wody od firmamentu. Co chwila wytryskujące bałwany jakby rzeki jakie zalewają statek, w całym okręcie trzask i huk nie do opisanie, wszystko co tylko nie przybite mocno, rozbija się o ściany. U nas w kajutach wszystka woda jaka tylko była powylewała się; naczynia ciągle rozbijały się, a my jak bezwładne z krzyżami w ręku leżałyśmy bez ruchu.

„Po tygodniu podobnie spędzonym, w Sobotę czułyśmy się tak wycieńczone, że pomimo wstrętu wzięłyśmy się do bulionu, bo najmilsza matka Monika mówiła, że konającym z głodu, można i przez gwałt potrochu wszystko jeść. Nadto muszę tu dodać, że

nie było ani jednej kobiety na okręcie do posługi, sami posługacze angielscy, jeden tylko Niemiec protestant który wszakże prawdziwie był naszym jedynym dobrodziejem. Zdjęty litością odwiedzał nas, częstował różnemi potrawami i co tylko mógł to nam dostarczał; choroba jednak do końca nas nie opuszczała, tak iż wyobrażałyśmy sobie, że za przybyciem do Nowego Yorku, wyrzucą nas jak śledzie na ziemię.

„Tymczasem, dzięki Błogu, inaczej się stało; po dwóch tygodniach okręt przestaje się kołysać, a my zdolne do chodzenia idziemy na pokład i cudny widok przed naszymi oczyma. uczucia podziwu, uwielbienia i wdzięczności do Pana wzbudza i znów muszę powiedzieć, że kto nie umie czcić Pana w dziełach Jego na ziemi, niechby popatrzył na port Nowego Yorku. Tu miałyby siostrzyczki do oglądania skały jakich Europa nie widziała, piękne wille, wieże i kopuły; na wodzie, pełno statków prześlicznych, jakby cacka jakie uwija się; na naszym okręcie śpiew, muzyka, radość, ale niestety, ludzka tylko, ziemska, bo z serc nie zagranych wiarą i miłością. Przez kilka godzin stał nasz okręt, zanim nas odwieziono na mniejszym statku do miasta, gdyż przyjeżdżali doktorzy i rozmaici urzędnicy, do rewizji ludzi i rzeczy. Z nami obchodzono się z największymi względami.

„Wieczór zajechałyśmy do miasta, do tak zwanego Kassel-Garde, tam według informacji Towarzystwa św. Rafała z Hamburga, zapytałyśmy o pana Köble'a. Zaraz nam pokazano list od pana Meinberga, uprzedzający o naszym przybyciu. Dowiedziałyśmy się, że miejsca z adresami od księdza Dąbrowskiego są o parę mil odległe. Zaprowadzono wreszcie do hotelu, który jest pod opieką Towarzystwa św. Rafała i po chrześcijańsku zostałyśmy przyjęte przez Niemców, z którymi za szczególną łaską Bożą tak się potrafię rozmówić, że wysłałam na generalną wystawicielkę naszych potrzeb.

„O 5 rano zaprowadziła nas nasza nieoceniona gospodyni do kościoła Redemptorystów, a raczej zawiozła, bo Nowy York ma ulice długie na 3 polskie mile i kursa są tak odległe, że więcej jak godzinę można jedną ulicą jechać. Tam zastałyśmy bardzo wiele osób w kościele, kilka Mszy świętych, naraz odprawianych, a po wysłuchaniu ich, udałyśmy się, z naszą pocziwą przewodniczką, do p. Köble'a. On nas zapewnił, że zajmie się nami, dowie się kiedy jechać koleją, a najglówniej, że możemy zostać w hotelu, choć nie mamy pieniędzy; doradził nam, aby się udać do Jezuitów, dla znalezienia polskiego kapłana do spowiedzi. Szłyśmy tam znów i jechały na przemian z godzinę, ale cóż, kiedy wyszedł do nas

Jezuita w surducie i cylindrze (bo księża wszyscy muszą tu, prócz w kościele, po świecku chodzić) i mówił tylko po francuzku, więc wystarczyłoby tylko dla dwóch, zatem znów w dalsze poszukiwania. I tak od miejsca do miejsca, po 5-ciu godzinach znalazłyśmy się u sióstr zakonnych, które nam powiedziały że jest ksiądz polak. Spowiadałyśmy się tedy i do komunii św. przystąpiły.

„Pocziwe siostrzyczki doradziły nam abyśmy się przeniosły do Franciszkanek, które mają szpital i podróżne siostry przyjmują, o co prosiłyśmy naszego opiekuna i ten nas tam zawiózł po południu, gdyż matka Monika przypłaciła ranny trud chodzenia takim bólem nogi, że prawie kroku stąpić nie mogła. Przyjmują nas tu z macierzyńską troskliwością, z miłością jaką tylko w duszach zakonnych znaleźć można, karmią, pieczą. Matce dziś troszkę lepiej, ale czy jutro będzie mogła jechać? Czyż więc mały powód do dziękczynienia za to, że zamiast w świeckim domu, tu jesteśmy?

Zwiedziłyśmy prawie cały Nowy York. Jest to miasto takie, o jakim u nas chyba w zaczarowanych jakich bajkach słyszeć można. Ulice, domy, sklepy cudnej piękności wewnątrz i zewnątrz, a wszystko razem z sobą harmonizuje, ożywione, pełne gustu i różnaitości, nie może się z żadnym z miast europejskich porównać. Koleje nie tylko na ziemi, ale i powietrzne, ponad głowami. Słowem, zdaje się, że już przemysł i estetyka nic więcej wymyślić nie potrafią. Wartoby wszystkich kupców europejskich sprowadzić i pokazać im, jak obok najpiękniejszych sklepów wygląda równie pięknie sprzedaż mięsa, ziemniaków, kapusty, węgla itp.“

Pokrzepione na duszy i ciele, wyprawiły się siostry dnia 20 Listopada do Polonii.

„Z Nowego Yorku wyjechałyśmy jak jakie księżniczki, pisze siostra Kajetana w Grudniu 1874 r. do Polonii, zaopatrzone we wszystkie, nawet zbytkowe rzeczy; dosyć powiedzieć, że z koszem, który mężczyzna zaledwie mógł unieść, a w nim począwszy od różnych ciast, wina, pomarańcz, cukierków, kończyło się na leguminach w formach, mięsach itp. Piszę to, aby dać wyobrażenie o gościnności amerykańskich zakonnic, do tego jeszcze jedna z nich odwiozła nas na kolej z p. Köble'em który nam się wystarał o listy do konduktorów kolei, a każdy przeczytawszy je, zdobywał się na różne grzeczności.

Prawie ciągle jechałyśmy pierwszą klasą i choć nieraz ciasno było, każda miała swą ławeczkę, a konduktorzy, gdy już nie mogli niczem się przysłużyć, to pytali czy nam nie zimno choć z gorącą trzeba było okna otwierać, gdyż tu całkiem inaczej koleje są urządzone. Są to długie wagony, jakby

sale, po obu stronach ławeczki, mniej więcej jak w kościele ustawione, obracające się według upodobania; piece żelazne, woda świeża itp., tak, że mało kto kiedy wysiada na stacyi, bo mu wszystko przyniosą, co tylko potrzeba. Bez przerwy jechałyśmy 3 noce i 2 dni, dopiero trzeciego musiałyśmy czekać kilkanaście godzin w Milwaukee. Tam znów znalazł się pocziwy amerykańnik, który z grzeczności zaprowadził nas po nocy do Szarytek, gdzie doznałyśmy serdecznej gościnności, a nade wszystko, że w dzień św. Elżbiety byłyśmy na Mszy.

„Te siostry mają tam dom sierot, a w mieście parę innych zakładów, były tam Niemki, Angielki i Francuzki, więc była wesoła rozmowa. Mają śliczną kapliczkę, a w niej obrazy św. Magdaleny i św. Teresy tak piękne i z takim wyrazem, że patrząc, choćby w najzimniejszej duszy, obudzić się musi poczucie tej miłości, jaką obie te święte gorzały.

„Widziałyśmy w tém mieście ojca Ksawerego (Kralczyńskiego, Kapucyna, † 1878 r.), który jest tam proboszczem przy parafii polskiej, ale żyje po zakonnemu, habit, broda i cały układ ubioru nie ustępują prz. Ojcu Wizytatorowi, a przytém własnymi rękami całą prawie plebanję zbudował, z pomocą tylko wieczorem przychodzących parafian. Widziałyśmy też kościół, a w nim konfesyonał, ambonę, chorągwie roboty ojca Ksawerego, ale co najwięcej, ogromne wazon-y kwiatów także jego roboty; wprawdzie w całej botanice nie znalazłby podobnego gatunku i podobnej fantasty czności, ale pewnie ta praca 80-letniego kapłana, bardzo miłą jest Panu Bogu. Pobłogosławił też nas całym sercem święty starzec, obiecał że kiedyś przyjedzie do nas i będzie o nas w modlitwie pamiętał.

„Wieczorem w dzień św. Elżbiety, 23 List., wyjechałyśmy już do naszego kącika, większą też część nocy przepędziłyśmy, ciesząc się, że już niedługo będziemy tam, gdzie mamy dla Pana pracować i układałyśmy, jakie to będzie przyjęcie i jak jemu godnie odpowiedzieć. Tymczasem, o bolesny zawódzie! na pierwszym kroku, kiedy nad wieczorem dojeżdżamy końmi, danymi nam przez proboszcza ze Stuen Point, i ledwie oczów nie wypatrzmy za procesyą, illuminacyą lub muzyką, wszystko cicho, tylko dzwon na Anioł Pański nas wita. Tak zajeżdżamy przed ubogą plebanją, i dopiero wszedłszy na pigię, zobaczyłyśmy człowieka, nie w miękkie szaty przyodzianego, ale kapłana (księdz-a Dąbrowskiego) wyniszczonego pracą i zapomnieniem o sobie i całe mieszkanie i gospodarstwo temu zaparcu odpowiednie. W dzień naszego przyjazdu skończono dopiero w dwóch

stancyjkach tynkowanie, bo dotąd dobrze było proboszczowi i bez tego.

„Weszłyśmy najpierw do kościoła, o kilkadziesiąt kroków położonego. Pierwszy dopiero tak biedny amerykański kościół widziałam, ot biedny parafialny polski, na pół dokończony, drewniany i to tylko część, albowiem dawniej stał między karczma-mi, dopiero proboszcz zakupił kawał gruntu i przeniósł go. Można więc łatwo sobie wyobrazić, że ubóstwo jest w wielkim stopniu, prócz kilku ornatów, wszystkiego brak, ani jednego obrusa ze szlakiem, komży, stuły do Komunii św. lub Spowiedzi, sukienki, nakrycia na tabernakulum nikt tu jeszcze nie widział.

„Rozgościłyśmy się u proboszcza, jak we własnym domu. dla niego nasz przyjazd był niespodzianką, bo myślał, żeśmy już zginęły na morzu, tak, że aż chorował ze zmartwienia, a Pan widać był już zadowolony naszym zamilowaniem pokory, więc tak sprawił, że telegram donoszący o naszym przybyciu niedoszedł.

„Cała ta parafia jest złożona z samych kolonistów polskich; ma rozległości około 10 mil angielskich, mniej więcej o kilka wiorst mieszka jedna rodzina od drugiej. Trudno więc żądać, aby wszystkie dzieci przychodziły każdodziennie do szkoły, w przyszłości zatem musi być cała plebania obrócona na zakład, a klasztorzek nasz stoi naprzeciw, będzie to wzór ubóstwa zewnątrz i wewnątrz, a pomimo zimy dosyć ostrzej, nasz kochany proboszcz, co zawsze sam gorący, każe go kończyć według planu, jaki już pewnie do Krakowa doszedł. Tymczasem mieszkamy razem jakby w kościele, bo nawet drzwi naszej malutkiej kapliczki cały dzień muszą być otwarte dla pieca.

„Dobry to był pomysł, aby z każdego naszego domu coś dla Pana Boga w Ameryce ukwestować, szkoda że nie przyszedł do skutku (nie chcę się przymawiać, ale wiem, że matka Monika przyjęłaby z wdzięcznością), bo tu prawdziwie jak na bezludną wyspę trzeba było się wybrać; nic zgola nie dostanie, aż w mieście o 3 mile polskie odległém, a to jeszcze nie wszystko i bardzo drogo. Jaka więc bieda ze szkołą, łatwo sobie wyobrazić, a co za zdolności, to prawdziwie amerykańskie! Żadne dziecko nic nie umie powiedzieć, tylko na zapytanie odpowiada: *you, yes, noo* i takich obecnie jest 90, od 7 do 16 lat w małej stancyi, jak śledzie spakowanych, bez książek, bo ich tu dostać nie można. Więc jak idzie nauka, to tylko mogę powiedzieć, że nauczycielka ma zawrót głowy i tak ma być, dopóki klasztorzek nie stanie i książki z Polski nie przyjdą, o które matka Monika pisała w różne miejsca, prosząc na jałmużnę, gdyż i tak przesyłka będzie tyle kosztowała, że daj Boże, aby

chcieli kupować. Najwięcej potrzeba elementarzy, biblii i katechizmów; pewnie na tém będzie się kończyć edukacja. Ludzie są poczciwi, ale tak łamanym mówią językiem, że trudno zrozumieć. Dają nam jałmużny więcej jak trzeba.

„Jakie tu ułożenie mają w Ameryce, to dam dość o tém wyobrażenia, gdy powiem, że na kolei amerykańnin siedząc nogi wyżej okna stawia i jest tu przyjęte, że tak każdy siedzi jak mu się podobą. W szkole chłopak wyciągnie się na ławce i tak do nas mówi.

„Byliśmy już u administratora, święty to kapłan, mówi wiele pięknych rzeczy, między innemi i to, że albo umrzemy, albo ujrzymy tryumf Kościoła, ale nie zwyczajną śmiercią, tylko męczennikami“.

Nie na męczeństwo, ale na coś, co równa się męczeństwu, nie długo trzeba było czekać, żli ludzie nie mogli znieść tego, że tu pod ich bokiem nabożeństwo i szkoła katolicka pięknie się rozwija. Pomimo bowiem braku książek, dzieci cały dzień, aż do 8 wieczorem, przebywały w szkole, a w niedziele i święta starsza ludność zbierała się gromadnie na naukę katechizmową i czytanie książek religijnych. Wykończenie też kaplicy i domku postępowało raźnie.

Aliści 18 Marca 1875 r. wybucha pożar zbrodniczą podłożony ręką. Zaledwo rozpoczęto naprawę ocalonych resztek domostwa i budowę nowego kościółka, nowy pożar 18 Maja t. r., w sam dzień św. Feliksa, podczas kiedy siostry były na nabożeństwie w kościółku, niszczy do szczytu całe ubogie mienie zakonnic i kościół. „Nikt nigdzie wejść nie mógł, pisze siostra Kajetana pod dniem 24 Maja, i nic uratować. Pieniędzy zebranych na budowę i za dawny dom z kasy ogniowej i księdza proboszcza, spaliło się około 1500 dolarów (1 dolar równa się 2 złr. 15 c.). Wszyscy zostaliśmy tak, że nie mamy z czego odmówić pacierzy, bo jeden tylko został brewiarzyk, a na ukoronowanie złego, spalił się kościół nowy, obszerny i ledwo troszkę aparatów z niego wyratowano. Ogień był tak straszny i gwałtowny, że w 20 minut byliśmy bez śladu domu, a w niespełna dwie godziny i kościół, aż do fundamentów, zgorzał. Nasz śliczny kielich, mszał, 2 poduszki, wszystko w kaplicy zgorzało. Nasi paraństwo są bardzo poczciwi, okazują nam wielkie współczucie, opatrują w żywność, ale na ich głowie jest dziś odbudowanie kościoła, plebanii, klasztoru i szkoły, oprócz, że każdy na siebie pracować musi... Mieszkamy teraz w angielskiej szkole, w której tylko w zimie dzieci się uczą. Straciłyśmy wszystko; wszystko nam Bóg zabrał, ale niech się dzieje Jego święta wola.

Trudno karty te czytać bez głębokiego rozrzew-

nienia. Tę wielką wiarę i pobożność zakonnic, wnet Bóg wynagrodził pomyślniejszym obrotém rzeczy.

W Maju 1875 roku widzimy ubogą osadę bez domu, bez kaplicy i kościoła, w obcej cisnącą się chałupce. W przeciągu lat pięciu, od powyżej wymienionego czasu, nietylko że stanął w Polonii obszerny kościół drewniany, a na położenie kamienia węgielnego zjechał ksiądz biskup z Visconsin, a tuż obok kościoła probostwo i znacznych rozmiarów dom główny polskich siostrzyczek ze szkołą i ochroną, ale założono nadto cztery nowe domy filialne, ze szkołkami dla Indyjskich także dzieci, a liczba sióstr wzrosła z 5 do 20, tak, że kolonia polskich zakonnic w Ameryce przedstawia się w ten sposób:

1. Dom macierzyński pod wezwaniem św. Klary w stanie Visconsin w osadzie Polonia, z nowicyatem dla sióstr, szkołą i zakładem sierot.

2. Dom filialny św. Franciszka w stanie Illinois w la Salle ze szkołą i zakładem sierot.

3. Dom filialny św. Józefa w stanie Michigan w mieście Detroit ze szkołą.

4. Dom filialny św. Feliksa w mieście Bay-City nad jeziorem Huron ze szkołą.

5. Dom filialny w stanie Indiana w Otis ze szkołą.

Dzisiaj nie jesteśmy jeszcze w stanie podać dokładnej cyfry rodzin i osadników polskich, rozrzuconych na przestrzeni czterech Stanów północnej Ameryki. Za to nie brak innych ciekawych wiadomości o młodych koloniach indyjskich, dla których biskup z Visconsin i ksiądz Dąbrowski, proboszcz Polonii, zakupił półtora tysiąca morgów ziemi; powoli przyjmują one cywilizacją chrześcijańską.

Nowa ta osada indyjska, dzisiaj już na wpół chrześcijańska, leży zaledwie o 3 mile od Polonii, ma już swój kościół i swoją szkołę. W nawracaniu miały i mają walną częśćkę pracy i zasługi, nasze siostry polskie. Oto co pisze, wnet po oném zniszczeniu pożarowém, matka Monika do swoich sióstr krakowskich. Opowiedziawszy, jak pomimo nieszcześcia i cierpień, ze strony owych przewrotnych ludzi, wspiera ich cudownie pomoc Boża, nawiedza i cieszy wielu łaskami, zapytuje:

„A Indyjanie nic to nie znaczą, skoro się ich w tym roku już przeszło stu ochrzciło, skoro do nas lgną, mają zaufanie, jak do swoich? Mysłą oni na seryo o założeniu szkoły, o budowie kościoła katolickiego. Całą paczkę medalików przesłaną nam przez panią Pusłowską, rozdaliśmy na pamiątkę chrztu naszym dzikim braciom, a ja jestem matką chrzestną wszystkich neofitów, z wyjątkiem kilku.

„Bolesną tylko jest rzeczą, że rok ten nieuro-

dzajny, nie pozwala nam przyjść im z pomocą; są oni bowiem bardzo poczciwi, ale pracować nie umieją i najmniejszego zamiłowania do pracy nie mają; najwyższém dla nich szczęściem jest próżnowanie, ale zarazem spożywanie wielkiej ilości wiewprzowiny.

„Trudno ich czegokolwiek nauczyć, bo mało co po angielsku umieją; liczymy jednak, że gdy będzie już szkoła, to z łatwością nauczą się i po polsku i po angielsku; wtenczas wszystkiego będzie można nauczyć młode pokolenie, jak tego mamy dowód na młodym chłopcu, który jest u naszego proboszcza, a przytém uczęszcza i do naszej szkoły. Chłopiec ten z wielką ochotą uczy się po polsku, i już coś umie. I tak na zapytanie:

— „Którą siostrę kochasz najwięcej?

— „Siostrę Samuelę.

— „A za co?

— „Bo mi jeść daje.

— „Którą potém?

— „Siostrę Incentynę, bo mi dała gryfelek i książkę.

„Wielką miał trudność w wymówieniu „ksiądz proboszcz“, i przez kilka dni wciąż sobie powtarzał: „ksiąska proposz“.

„Umie się przeżegnać i nie źle mówi „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś“ po polsku. Z natury już leniuszek i skłonny do figlów, ale przytém karny, każde napomnienie czuje i opłakuje, żegna się, całuje krzyż, medalik i obiecuje poprawę, a lubi świecidełka; gdym mu darowała pasyjkę małą, skakał z radości.

„Wczoraj byłam z wizytą u króla czyli naczelnika jednego z pokoleń indyjskich, ochrzczonego już z całą rodziną i narodem swoim (sto kilkanaście osób); ale biedak nie ma co jeść, gdyż śniegi zginęły i polowanie się nie udaje. Zaniósłam im trochę żywności do ich pałacu królewskiego, zbudowanego w krzakach, za naszym ogrodem. Struktura jego następna: kilka kijów w kształcie dużego parasola, wsadzonych w ziemię, okrytych rogożą na zimę, a perkalem na lato; w górze otwór, przez który dym wychodzi; na ziemi trochę słomy, na środku duża żerdź, umocowana przez całą długość szalasu, a na niej zawieszzone kociołki do gotowania. Ogień pali się nieustannie, a naokoło niego cała rodzina leży i używa najwyższego ziemskiego szczęścia. Gdy się pomęczą tęp zajęciem, posilają się gotowaną kukurydzą i słoniną, jeżeli mają, a w braku nie gardzą ani psem, poczem wracają do swego zwykłego zajęcia, do leżenia“.

„Jeżeli królewska rodzina tak nędzna, cóż dopiero podwładni J. K. Mości? Takich ludzi podźwignąć, wychować, zrobić z nich pracowitych

i ogłędnych, oto cel, jaki przedsięwzięły, a siostry mają nasze żywy przykład tój apostolskiej gorliwości, która przed żadną ofiarą, przed żadnem zajęciem i pracą się nie wzdrygnie, w osobie księdza Dąbrowskiego.

„Nasz gorliwy ksiądz proboszcz, pisze matka Monika w innym liście (bez daty, jak zwykle), jeździ do nich, kupuje im łopaty, grabie i inne gospodarskie narzędzia, zawozi nasiona i uczy gospodarstwa, którego sam nie umie. Ale cóż, jeżeli im tylko zawczasie zawiezie kartofle, groch lub kukurydzę do sadzenia, to zjedzą, zanim rolę pod nie przygotowują. Prawdopodobnie 50 rodzin chrześcijańskich osiadzie tutaj; będą budować kaplicę i szkołę w tój nowej osadzie“.

„Niech mateczka, wraz ze Zgromadzeniem, wspiera modlitwami pocziwą pracę i gorące pragnienia naszego księdza proboszcza w nawracaniu Indyan. Mnie czasem coś się z jego prac dostaje, bo gdzie sam iść nie może, to mnie posyła: i tak mam już dwóch synków, których sama chrzcila, a czterech trzymałam do chrztu.

„Właśnie doszła mnie wiadomość, iż Indianie robią bardzo wielkie postępy, tak dalece, że pragną już mieć własną szkołę w osadzie, zamyślają stale, około uprawy roli, rybołówstwa i myśliwstwa pracować i życie jakoś po ludzku prowadzić. Ksiądz proboszcz w gorliwości swój zabiera nam mięso, kartofle, groch, mąkę itp., rozdaje to pomiędzy nich, jeździ do nich i przyjmuje ich u siebie, myślę nawet, że i nas im zawiezie, czemu wcale przeciwnie nie jesteśmy. Zarty na stronę, ale może rzeczywiście Bóg od nas tego zażąda; ja dziś gotowa jestem przytulić do mego serca to dzikie, miedziane pokolenie, byle ono ukochało kiedyś Boga. Z wielką radością myślę o tęp, i byłabym bardzo szczęśliwą, gdyby to była w miniaturze propaganda rzymska. Co mateczka pomyśli o matce Monice, która będąc sama bez dachu, myśli o zagarnięciu dzieci Indyan? Ja patrzę na ciągle cuda Opatrzności Boskiej i ani na chwilę nie zawaham się otworzyć nasz ciasny domek dla tych biednych dusz, żyjących w takim upodleniu i zezwierzęceniu.

„Zanim skończyłam ten list, poznałyśmy Indyankę, niby katolicką, która przyjechała tu w interesie szkoły z naczelnikiem swego plemienia i służy mu za tłumacza. Matką tój kobiety była Indyanka, a ojcem Francuz, lecz ona wyszedłszy za Indyanina, przyjęła ich zwyczaje i przez 8 lat nie przystępowała do Sakramentów; dziś jednak, za łaską Bożą, w dzień św. Feliksa, odbyła spowiedź. Naczelnik był u nas parę godzin i powiedział, że o szkołę katolicką musi się ze swym ludem naradzić.

„Indyanie tak postępują, że już 40 się ochrzciło, a stu jest neofitów. Z jednej osady przybyła do nas 13-toletnia Indyanka, i już jest drugi dzień; może nam się uda oswoić to dzikie dziecko, a do brzeby było, nauczyłaby nas swego języka. Od jakiegoś czasu miewamy dziennie po kilku gości indyjskich, a nawet kilkunastu, a Opatrzność Boża pozwala nam żywić ich. Sądzę że nasz ksiądz proboszcz musi być świętym, kiedy Bóg daje mu łaskę takiego wpływu na to dzikie pokolenie. Indyanie kochają go, a nawet czasem nazywają bogiem, z powodu wielkiej miłości, jaką im okazuje.

„Równocześnie z nawracaniem Indyan rozpoczęło się nawracanie owych złych ludzi, którzy z taką nienawiścią przyjęli zakonną osadę i zniszczyli ją dwa razy. Pocziwe siostry modliły się o to gorąco „dotąd będziemy prosić Boga, aż musi ich nawrócić“ pisała matka Monika jeszcze w Maju 1875 r. Pobożne prośby skończyły się wygraną, niezadługo potem czytamy w jednym z listów matki Moniki:

„Muszę się z wami podzielić radością, jaką nam miłosierny Bóg zesłał. Odszczepićcy nasi nawracają się, najzaciętsi przysyłają dzieci do szkoły.

„Jeden z nich przysłał po proboszcza, aby go na śmierć dysponował; drugi, aby mu żonę pochował, a dwie córki oddał nam jako sieroty; inny znów przeproszał publicznie księdza proboszcza. Do kościoła naszego przychodzą prawie wszyscy, pomimo, że obok swęj osady mają kościół katolicki niemiecki i księdza polskiego, tam dojeżdżającego. Jaka to dla nas pociecha, trudno opisać! Niechże nam dom macierzyński w Krakowie pomaga w dziękczynieniach“.

Siostry polskie mają teraz pięć szkół, trzy domy sierot, odwiedzają chorych, pielgrzymów opatrują w żywność setki próżniaczych Indyan, których, jak zwierzęta, najprzód jadłem, a potem dopiero słowem Bożem przyprowadzić można do Chrystusa, uczają przytém obcego języka, a potem katechizmu setki zaniedbanych dzieci.

Z tém wszystkiém są wesołe, swobodne i z wiarą pierwszych chrześcian, ulając w pomoc Bożą, do nowych gotują się prac.

HONOROWY STÓŁ KRZYŻACKI.

OPÓWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW.

przez M. . a.

(Dalszy ciąg).

Tymczasem stara niewiasta z dziewczyną biegały jak szalone pośród żołnierzy, lając ich za

mleko. Oni bawili się tym krzykiem z początku, ale gdy im się ta zabawka uprzykrzyła, wyganiaли za obręb swego koczowiska schwycone niedawno niewolnice. Napróżno przecież, bo one wcale odejść nie chciały, dopominając się wynagrodzenia. Aż nareszcie, nie chcąc srożej pastwić się nad bezbronnemi istotami, żołnierstwo krzyżackie szturchańcami wypchnęło przecież wrzaskliwe kobiety z obozowiska.

W pół godziny później, wódz obchodzący czały jak zawsze na każdym koczowisku, nie ujrzał wcale jednej z nich w miejscu nakazaném. Włosy powstały rycerzowi na głowie, na tak straszne lekceważenie jego rozkazów; żywo przystąpił do miejsca które sam przed godziną na stanowisko dla straży wybrał i ujrzał tam strażnika powalonego jak długi na miejscu, na którym stać był powinien. Sądził że żołnierz umarł z jakowegoś przypadku, ale po zbadaniu, przekonał się, że spał chyba tylko snem mocnym. Za tak straszne i niebezpieczne niedbalstwo, postanowił wódz ukarać go natychmiast. Ale gdy podniósł głowę i rzucił okiem ku koczowisku, by kogo zeń po rozkazy powołać, ujrzał brak i drugiego strażnika. I ten spał równie jak inni, jak większa połowa całej siły zbrojnej Richartsdorffa, który teraz wpół oszalały biegał pośród tej zgrai snem zmorzonej nieprzewyciężonym, usiłując ją koniecznie ocucić. Niektórzy zdawali się tylko jakby rozmarzeni, ale inni byli nieprzytomni.

Mądry acz zabobonny rycerz, prędko domyślił się źródła złego w owęj starej niewieście, której z taką trudnością zaledwo pozbyto się z obozu, ale to złe przypisał jęj czarom. Ani mu do głowy nie przyszło, że i mleko owo kwaśne mogło być zieleń jakimś szkodliwym zaprawne i że niewiasta tak długo i uporczywie płacząca się wśród obozu, miała czas i sposobność, wrzucić co szkodliwego do gotującej się właśnie strawy.

Gdy tak gwałtownie usiłuje rycerz mnić sennych zupełnie rozbudzić, nagle czuje coś przelatującego mu nad głową, co spada mu na nogi, a potem silne za te nogi szarpnięcie obala rycerza, niby strzaskany ogromny dąb, który pada z głuchym jękiem na ziemię. Mnóstwo, małych po większej części postaci, jak z pod ziemi wyrosłych na raz ukazało się pomiędzy sennymi wojakami. Waleczny rycerz uczuł się skępowanym niezliczonemi więzami, i dzika jakaś wrzawa napełniła powietrze, Wrzawa radosna.

Kilka ognisk zabłysło wśród zaspanych, a przy ogniskach skakały w szale radosnym, jedząc i pijąc przytém, dziwaczne drobne postaci, do zwierzęcych prawie podobne. Jedna z nich, oderwawszy się od towarzyszy, z główną płonąca w ręce,

z wrzaskiem radosnym, w dzikich podskokach przypadła do skrępowanego Richardsdorffa i skacząc koło niego długo mu *coś* niezrozumiałego prawiła, a była to też sama stara niewiasta, która parę godzin temu schwytana, tak się później uporczywie po obozie płatała.

Wschodzące słońce oświeciło nareszcie obóz, a z nim i ostateczny wstyd krzyżowców, ukazując im tych, którzy ich zwyciężyli i wzięli w niewolę; była to gromada niedorostków obojęj płci, trochę kobiet, trochę starców, wszystko w skóry zwierzęce odziane. Ciemna, bo opalona od słońca twarz Richardsdorffa, zczerniała na widok takich przeciwników i zwycięzców. Teraz dopiero leżąc skrępowany i patrząc nie na rozszarpywanie swego obozu, lecz na powóz dotąd spokojnie stojący, przypomniał sobie rycerz i pojmował dokładnie *to*, co go od doby spotkało.

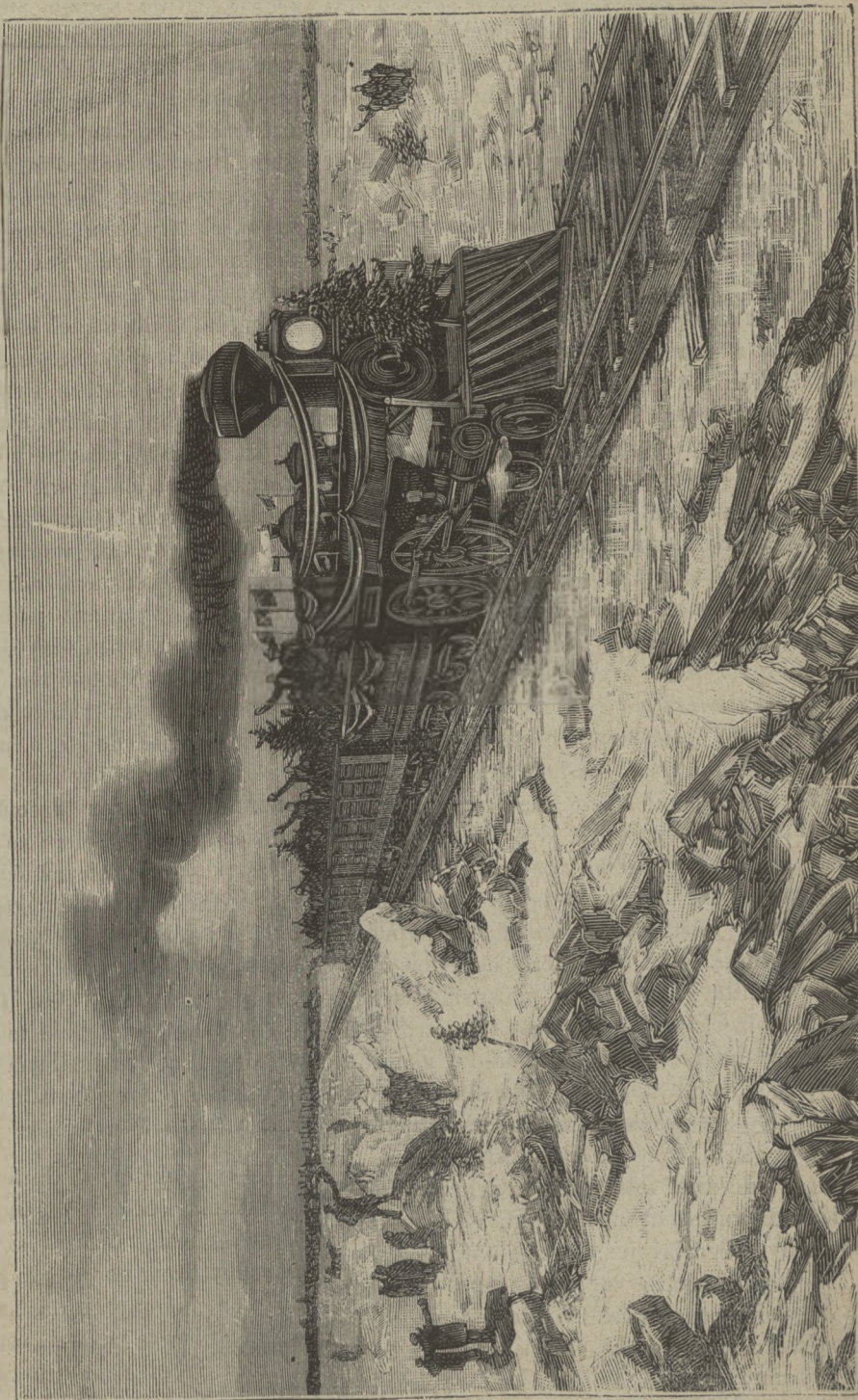
Nie ulegało wątpliwości, że wszelkie usiłowania nieprzyjaciela, nie mogącego odważyć się na otwarty napad, zmierzały tylko do zatrzymania podróжных w okolicy, w którejby podstępem podejść ich się dało. Dla tego to zatabowano strumień, dla tego ciskano kamykami z po za lada krzaczka czy dużego kamienia, za które łatwo było pełzając skryć się małemu chłopakowi, gdy dużym, ciężkim i ciężko zbrojnym Niemcom zdawało się, że nikogo po drugiej stronie wody nie było wcale. Przyszło też na myśl pobożnemu rycerzowi, że może i zgrzeszył zabijając Hansa i Waltera, ponieważ ci może niewinni byli, a w takim razie konieczność własnej i swych podwładnych obrony i spełnienia powierzonej mu sprawy zakonu, nie uniewinniała jego postępków. W istocie, zaczynał teraz wątpić rycerz, czy ów podejrzany przez niego Łokieć czyli Łoktek, ma jaki wpływ na jego losy. Wszak teraz jasno widział, że od zapuszczenia się w tę dziką okolicę w której się obecnie znajdował, napastowanym był ciągle tylko od zgrai nędznych jakichś niedorostków, którzy nawet gdyby byli tylko użyci za narzędzie, to *ten* ktoby ich używał, już ukazałby się teraz. A na to właśnie nie zanościło się wcale jakoś.

— Kto wie, może polskiemu Łokciowi ani śni się o mnie? może w swoich własnych kłopotach pogrążony i nie wie że ja żyję?... — taka rozsądna myśl zaświtała nareszcie w głowie pysznego rycerza, który częstokroć sądził, że cały świat ma na niego i jego rycerskie czyny oczy zwrócone. Najprawdopodobniej, ta nędzna dziec napastowała i schwyciła go po prostu dla rabunku, sądząc może iż on wielkie jakie kosztowności wiezie w owym powozie, który z taką troskliwością nosił na własnych rycerskich ramionach. Tak sobie myśląc, gorzko rycerz żałował swęj porywczosci względem

Hansa i Waltera, którzy najniewinniej zapewne rozprawiali sobie coś o słynnym i kochanym przez żołnierską młodzież bo walecznym Łoktku, a rycerz nie rozumiał dobrze ich rozmowy. Zwyczajem owych wieków, przypisywał rycerz temu grzechowi swemu, popełnionemu przez zabicie dwóch chłopców, terażniejsze swe nieszczęście, uznając je za natychmiastową i słuszną karę Boską. W myśli tedy bił się w piersi, bo ręce miał związane, uznając grzech swój pokornie i uroczyście obiecując zań przeróżne i zadość uczynienia i przeproszenia tak Panu Bogu jak i duszom dwóch knechtów, byle tylko przebaczone mu i poratowano go w terażniejszej przy godzie. Rozumie się, że w tém wszystkiem chodziło mu naprawdę nie o siebie, lecz o całość powierzzonego mu skarbu. Honorem rycerskim zobowiązał się dostawić go na miejsce, a z takim zobowiązaniem nie żartowano w owe czasy. W owe czasy bo nie żartowano z niczém naprawdę; powaga jest główną ich cechą. A jakkolwiek dziwni byli niektóre owoczesne pojęcia, to szczerosc ich była przecież zawsze godną uznania, a nieraz i prawdziwego szacunku. A tymczasem, gdy rycerz modlił się i rozmyślał, nie spuszczać oka ze swego powozu, zwycięzcy nacieszywszy się swém zwycięstwem i posiliwszy przy rozpalonych wśród powiązanego żołnierstwa ogniskach, zabierali się do pochodu kędyś. Nie było tam wcale ani wodza ani ładu, ale mimo to nie było i niezgody; owszem, wszyscy zdawali się wiedzieć z góry co trzeba robić i wypełniali to chętnie, z wrzaskliwą radością. Co zabrać się dało z własności rozbitego oddziału, broń, jadło, odzienie, ponakładano na konie i popędzono je w las. Ludzi snem wiecznym zmorzonych obdarto z odzienia i broni, nie troszcząc się o ich zwłoki zresztą. Innych, sennych tak, że wstać nie mogli, dobito ohydnie, z jakąś obrzydliwą przyjemnością od której rycerz oczy odwrócił; istoty nędzne i małe i słabe, uczuwały tu widocznie najobrzydliwszą i największą z rozkoszy, jakich doznawać mogą nędzni i słabi, rozkosz pastwienia się nad silniejszym od siebie. Tych zaś którzy iść mogli, popędzono srodze spętanych, w las. Rycerz miał ochotę raczej dać się ubić na miejscu; niż dać się pędzić nikczemnej téj zgrai, ale gdy ujrzał powóz swój, ten względem którego zobowiązał się honorem dostawić go na przeznaczone miejsce, ruszający ze stanowiska, wtedy rycerz zaciął zęby z tłumionej rozpacz, wstał na rozkaz jakiejś jędzy która przed chwilą Franca własną ręką zabiła, i poszedł w milczeniu za powozem. Powiadał sobie pocichu, że dopóki ten ostatni jest nietknięty, dopóty i honor jego jest jeszcze bez skazy. Ze zaś skazy honoru rycerz by nie przeżył,

to on czuł w głębi serca na pewno. Bywał on jednakże w życiu swém w tylu i tak strasznych przygodach i wychodził z nich obroną ręką, że i teraz nie tracił ducha zewszystkiém. A już sama ta okoliczność, że powóz nietknięty szedł w jakąś podróż, dawała choć małą otuchę. Wyraźnie zgraja zwycięzka, prowadziła tę zdobycz swą do jakiś starych, bo inaczej byłaby i z nią załatwiła się na miejscu, rozszarpując ją, jak rozszarpywała i rozbijała wszelką inną, nie znając zapewne nawet użytku ani wartości wielu przedmiotów, zdobytych dzikim swym podstępem. Rozmyślając nad swą przygodą i modląc się, szedł tedy rycerz mocno związany, w towarzystwie swego giermka Fritza, Wolfganga i sześciu już tylko braci służebnych. Zgraja dzieciaków otaczała ich posturkując, popychając i łajac, a wygrazając im zaciśniętymi pięściami. Starzec zarosły, siwy i zgarbiony, prowadził konie ciągnące powóz. Wszedłszy w las nie szli już długo. Wkrótce z trudem przeprowadziwszy powóz przez gęstwinę, acz wybierano drogę dlań umyślnie co najwygodniejszą, wyszli na niewielką przestrzeń przez połowę wyciętego lasu, przez połowę tylko, bo wiele drzew użytkowano jako naturalne zręby chat, prawie szalaszów tylko skle-

ła tu i owdzie z drzwi chat, krowina, owca, kura, prosiak, wszystko snadź wspólnie z ludźmi przemieszkowało. Wpółśród tych lepierek przytulonych do drzew w gęstej puszczy, stała jedna, jeszcze mniejsza i nędzniejsza od innych, ale uderzająco



KOLEJ ŻELAZNA NA LODZIE. (str. 428).

conych w najprostszy sposób. Za materyał służyły drzewa, gałęzie, mech i ziemia tłusta. Wokienkach były błony zwierzęce; łyko służyło za zawiasy drzwiom, o kominie nie słyszano tu jeszcze; dobytek był chudy i w skąpej ilości; wygląda-

od tamtych odosobniona, a tuż przed nią wznosił się dąb olbrzymi, największy jaki istniał w tej puszczy, a na okół dębu tego zrobioném było niby oparkanie, na parę łokci oddalone od niego, wysokie na sześć łokci i szczelnie drzewo osłaniające;

ale to oparkaniecie, a raczej ta osłona, uczynioną była nie z drzewa lecz z przeróżnych tkanin i materyi. Łączyły się tu, złotogłowie, srebrne lamy, sajety, purpury i inne tak drogie i piękne tkaniny, jakich tylko na płaszcze królewskie używano. Srebrny strumień przeczysty przepływał w pobliżu, a był to ten sam, który kiedyś tam w dolinie sztuką zatamowany rozlał się i oddział krzyżacki o zwłokę i zgubę przypawił. Tyle ujrzał rycerz, wstępując wśród ohydneho orszaku swego w tę gromadę lepianek, w sercu puszczy zapadł. Na widok dębu osłoniętego, skinął rycerz głową jakby coś znajomego ujrzawszy; w istocie, widział on już podobne, w wyprawach na Prusy i na Litwę pogańską, jakie w krzyżackich szeregach przedsiębrał. I wiedział nawet rycerz co się po za zasłonami znajdowało. Było jeszcze pełno takich dębów wśród pogan, acz pierwowzór drzew tych świętych prawdziwy *dąb bogów*, ów ołtarz pierwotny i przesławny pogaństwa, ściety został jeszcze przez Bolesława Chrobrego w czasie jego wyprawy na Prusy, w której on się aż w głąb świętych lasów *Romowe* zapuścił. Ten pierwowzór miał to być dąb nad dębami, ogromny, o sześciu podobno łokciach średnicy, o konarach w trzy rozdzielających się strony; *trójdąb* z trzech olbrzymów zrosnięty i trzy we wnętrzu swém zawierający ołtarze. Wszystkie inne takie dęby troistemu bóstwu poświęcone u pogan, były już tylko naśladowaniem, niejako wizerunkiem i wspomnieniem tamtego; acz wybierano na nie najpotężniejsze dęby wśród puszczy niedostępnych. Pogaństwo zgnębione w jednym miejscu, ujrawszy upadający dąb święty, zabierało zeń bóstwa jeżeli mogło, lub choćby najmniejszą ich szczątki, choćby siekiere nareszcie która dąb ów powaliła i unosiło te ubóstwione szczątki w jakąkolwiek bezpieczniejszą puszcze, gdzie znalazłszy dąb odpowiedni, zakładało w nim nowe dla swych bogów, a u stóp jego, nowe dla siebie mieszkanie. Rycerz wiedział o tem wszystkiem od swych przyjaciół krzyżaków i z własnego wśród nich doświadczenia i dla tego kiwał tylko głową na widok dziwnego dębu i dziwacznej w jego pobliżu osady; wiedział już, że znajdował się w rękach pognębnego, a więc mściwego, ukrytego w głębi puszczy pogaństwa. Westchnął ciężko nad własną niedolą, zasłużoną, bo pewnym już był że podejrzrywany przezeń Łoktek książę polski, rycerz chrześcijański, nie mógł być jako, taki przeciwnikiem jego złączonym z pogaństwem, w obecnej sprawie. A więc grzech podwójnego, ciężkiego, bo nieusprawiedliwionego własną obroną meżobójstwa, całym strasznym śmiertelnym swym ciężarem zaciężył na sercu skruszonego Richartsdorffa.

Przyprowadziwszy więźniów przed maleńką ową lepiankę najbliższą dębu osłoniętego stojącą, powalono ich u progu tej chaty, spętawszy tak srodze by się wcale ruszyć nie mogli. Powóz postawiono obok nich wyprząglszy zeń konie; poczem zwycięzka zgraja stanęła stłoczona półkolem przed tą lepianką, pozostawiając jednak przed nią miejsce wolne, z boku którego stał powóz i leżeli więźniowie. Jeden ze zgrai, chłopak zaledwo czternastoletni może, powoli, z wielką jakby nieśmiałością i poszanowaniem wszedł do lepianki. Po ciszy pełnej uszanowania jaka zalegała wśród zgrai, po tem jej ustawieniu się przed chatą, z więźniami i zdobyczą w pośrodku, rycerz łatwo odgadł że mają nastąpić sądy jakieś, które los jego rozstrzygną. Chłopak też który wszedł do chaty zwrócił już poprzednio na siebie uwagę rycerza, gdyż odznaczał się okrutną swawolą, przy strasnej robocie dobijania odurzonych więźni i nad całą tą nędzną bandą zdawał się mieć jakąś przewagę. Z ręką lewą na głowie tego chłopca opartą, wyszedł po chwili z chaty starzec bardzo zgrzybiały, ale mimo to, tak wspaniałej i dorodnej postaci, choć dziko-nędznem odzieniem nie różnił się od innych, że wyglądał jakby dzielny jakiś prapradziad zstępujący między skarłałych i wyrodzonych prawnuków. Starzec ten, acz z trudnością zdawał się poruszać, nie usiadł przecież na kłodzie leżącej widocznie do tego użytku przed lepianką. Owszem, stanąwszy wyprostował się on powoli, i nowiódł po zgromadzeniu okiem tak głęboko ponurém, że gdy z kolei i na rycerza padł wzrok ten, rycerz zadrżał nieznanem mu przerażenia uczuciem: tak patrzą oczy które za dużo i zawiśklich oglądały nieszczęść. Za starcem stał drugi, zgarbiony, ten który konie z powozem przez las do osady prowadził. Ów pierwszy, popatrzywszy na stojących w głębokiem milczeniu, podniósł ręce w górę i zawołał silnym głosem w języku który Wolfgang przez pół rozumiał, jako dawno wśród dzicyz tutejszej wojujący:

— *Jatwieże* *)! biedne wielkiego ludu potomstwo! *Pikał* **) straszliwy dziękuje tobie! Przed chwilą rozległ się w chacie mojej łoskot okropny znak ukojonego gniewu Pikała. Po trzy razy on już napastował mię, odkąd ci chrześcijanie weszli w tę puszcze, ostatnie nasze schronienie i groził, groził nam strasznie. A brodę miał siwą roztarganą okrutnie, głowę płachtą białą związaną,

*) Jadźwingi lub Jarwieże naród dziki, straszny łupieżcem, siedział na Podlasiu, stolice miał Drohiczyn. Bolesław V-ty brońcie kraj swój od okrutnych napaści, lud ten pobij.

**) Pikał, Pekolo bóstwo piekieł,

oczy wywrócone w górę i twarz bladą jak strach! I zażądał od was krwi! Tak jak żąda jej za każdym zbliżeniem chrześcian. Teraz wszystkie nieszczęścia jakimi nam groził spadną na nich, będziemy orać niemi ziemię w tej puszczy wykarczowawszy ją ich rękoma. Krwi! krwi! krwi! tak wołał Pikał, tak wołał on bezustannie na mnie dniem i nocą wtedy przed trzydziestą zimami, gdy Bolek polski przeklęty najechał gniazdo nasze; Drohiczyn nasz i roztrzaskał dąb święty i wytępił wytracił lud nasz do jednego wojownika prawie! A ja uciekłem wtedy resztki bóstw unosząc, na puszcze. A gdy Pikał dniem i nocą wołał na mnie krwi! tedy ukryłem bóstwa, a sam poszedłem szukać naokoło dawnych gniazd, resztek mojego ludu, ludu który Pikałowi dostarczał krwi. I pozbierałem was starcy, was stare niewiasty którymi pogardził oręż Bolka polskiego. I powiedziałem wam: „Idźmy gdzie ukryłem resztki bogów, głęboka tam puszcza, ale przez nią ludna droga prowadzi, tam założymy nową Jatwież, nowy Drohiczyn! A kiedy Bolek polski wytępił wszelką duszę silną u nas, i taką, która silną stać się miała, to wydzierajmy jego ludowi my starcy wszelką małą duszę, każde dziecko które zdołamy pochwycić i chowajmy je po naszymu, aby te obce dzieci naszymi się stały, aby z tém co z Jatwieży stariej zostało, te dzieci utworzyły Jatwież nową, która rozpotężnieje w lud ogromny i zapanuje nad ziemią całą, aby miał kto na zawsze dostarczać Pikałowi krwi!“ A czas biegł nim was wyszukałem, nim dostaliśmy nędzne dzieci chrześcian, nim tchnęliśmy w nie straszego ducha Pikała; i oto teraz rozpoczynamy dopiero żniwo długiej siejby naszej. Dopiero teraz duch Pikała odzywa się w piersi chłopiąt naszych! Dopiero teraz zadowolnić go będzie można gdy zawoła krwi! krwi! krwi!

Dokończając słów tych starzec którego oczy wilczym jakimś blaskiem zabłyśły uderzył cienkim nożem z za pasa dobytym we własną wpół obnażoną rękę drugi podstawił szybko czarę złocistą pod ściekający ciemny strumyk krwi, który gdy ustał bieżać, stary ofiarnik pochwycił czarę i dziwnie na raz chyżym krokiem, pochylony jak zwierzę, sunął z nią po za bogate opony świętego dębu. Drugi starzec który przyprowadził powóz, snadź także ofiarnik, wsunął się za pierwszym. Głębokie milczenie zalegało przez chwil kilka, gdy zwolna podniosła się część opony i po za nią w rodzaju niszy wyrobionej w świętym dębie ukazało się straszne bóstwo piekielne: Pikał, było to największe szczęście jakie spotkać mogło pobożnych. Wyrobite z drzewa niezgrabnie i pomalowane, wyglądało tak jak je ofiarnik opisał. Straszliwie okropna blada ta twarz, nieudatna, przy głowie szmatą szkaradną

związaną, była przerażającą istotnie; czaszki ludzkie i zwierzęce u stóp bałwana leżały; stały wielkie dwa naczynia nakryte snopami, z pośród których wyglądały łby karmnych węży chowanych na cześć bóstwa... Nędzna resztką bałwochwalczego ludu, natchniona ofiarnika słowami spoglądała w pełnem grozy milczeniu przez długą chwilę na ten obraz potworny, dopiero gdy opony znów zwolna zapadły, lud zawył dzikią radości okrzykiem, na podziękowanie bogowi za niezmiernie rzadką łaskę jaką ukazaniem się swém w ten sposób wiernym swym objawiał. Bo gdy Pikoł ukazywał się w domostwach, wtedy klęski i nieszczęścia przynosił, krwi i ofiar za zmarłych żądając.

Wśród radosnych ludu okrzyków, wyszedł stary ofiarnik wraz ze swym towarzyszem z za opon dębu świętego, usiadł na owęj kłodzie u drzwi swój lepianki stojącej, pod olbrzymiami tego dębu konarami i rozpoczął podział zdobyczy którą znoszono przed niego. Czynił on to z pewnym pośpiechem, jakby śpieszył się do czegoś ważniejszego. Zdawało się przytém, że znał się na wartości zdobyczy lepiej trochę od swych podwładnych. Broń, zbroje i złoto odkładał jako część bóstwu przynależną i drugiemu ofiarnikowi kazał nosić je po za świętego dębu opony, zkąd z głębokich schówków bogowie mieli je dopiero wedle potrzeby wiernym udzielać. Resztę zdobyczy, odzież, ozdoby, konie, żywność, rozdzielano równo między dziczą nędzną, przyjmującą podział szalonymi oznakami radości, które doszły do szalu, gdy nareszcie na samym ostatku, popchnięto przed ofiarnika i naczelnika zarażem, najznakomitszą zdobycz: powóz tajemniczy. W tej chwili głuchy jęk do ryku lwa podobny rozległ się wśród radosnych krzyków, to rycerz von Richartsdorff jęczał z bólu, wijąc się nadaremno w więzach na widok *śmierci swego honoru*. Tak sam powiedział, do leżącego obok Wolfiganga. Tymczasem rozbójnicza garść niedokładnie wytępionego ludu, wspinała się i tłoczyła koło powozu z wielkiej ciekawości nie śmiąc dotknąć go jednak, gdy na skinienie ofiarnika ów chłopak przodujący w rozboju, pochwycił wielką siekiere...

— Stój! — wrzasnął Richartsdorff w rozpacz... wrzasnął na próżno: ciężka siekiera spadła na powóz... raz, drugi, dziesiąty... rycerz chciał zamknąć oczy i nie mógł, pozostały stężale, rozwarte przerażeniem, banda zamilkła dysząc oczekiwaniem, nagle, najbliżsi podobno sami starcy ofiarnicy nawet chwycili za roztrzaskane części kolebki, szarpnęli i... z trzaskiem ukazała się... próżnia. We wnętrzu tajemniczego powozu nie było zupełnie nic. Niemcom spętanym obok rycerza przyszło na myśl że chyba tam nigdy nie było bo inaczej trudno było pojąć, kiedy zawartość wyjętą być mogła, ale spoj-

rzawszy w oczy rycerza, ujrzeni w nich takie samo przerażone zdziwienie, jak w oczach bandy zbójckiej; nie można więc było wątpić, że rycerz sam doznawał nie mniejszej niespodzianki jak wszyscy. Nie po raz pierwszy w tej sprawie pomyślał o czarach, inaczej zniknienie zawartości powozu nie dawało się wytłómaczyć.

(D. c. n.).

KOLEJ ŻELAZNA NA LODZIE.

Niezwykle srogą była zima z r. 1879 na 1880. nie tylko u nas, ale i w Ameryce. W Stanach Zjednoczonych pozamarzały wszystkie jeziora i nawet wielkie rzeki, takie jak Ś-go Wawrzyńca. Lubiący wszystkie nadzwyczajności Amerykanie, urządzili na tej rzece kolej w pobliżu miasta kanadyjskiego Monreal i przez kilka miesięcy podróżowano w najlepsze w ten sposób. Możecie sobie wyobrazić, jak gruby i mocny musiał być lód, który mógł udźwignąć lokomotywę ważącą 25,000 kilogramów i ciężkie wagony. Rysunek nasz zrobiony jest z fotografii wykonanej na miejscu.

Przygody Myśliwskie młodych osadników

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Wysokość jęj dochodzi zaledwie pięćdziesięciu centymetrów, jest jednak silna i wytrwała, małe antylopy równinowe nie mogą się z nią równać pod tym względem, rożki jęj, nie dłuższe nad dziesięć centymetrów, wznoszą się od czoła prosto w górę, końce ich tylko, zaginają się nieco ku przodowi. Sierść giejzy skaczącej jest długa, sztywna i stercząca, co jęj nadaje pewne podobieństwo do koleców jeżozwierza. Sierść ta dziwnie jest zabarwiona, szara przy skórze, brunatna po środku, a na końcach żółta, co jęj nadaje ogólny odcień jasno oliwkowy.

Najwybitniej ta antylopa wyróżnia się od wszystkich siostr swoich osobliwym kształtem nóg. Kopyta jęj nie są wydłużone i śpiczasto zakończone, jak u innych antylop, lecz grube, walcowate, osadzone w kierunku pionowym, ząbkowane u brzegów, co ułatwia niezmiernie giejzie utrzymanie się na spadzistościach skał najgładszych. Noga zwierzęcia doskonale jest zastosowana do sposobu jego życia i otoczenia.

Antylopy te nigdy się nie zbierają w liczniejsze stada, trzymają się parami, zazwyczaj też

i młode towarzyszą rodzicom; taką właśnie rodzinę wysledził przed chwilą nasz młody myśliwy. Samiec stał na krawędzi skały i spoglądał na równinę, rozciągającą się poniżej, gałęzie sandałowego drzewa osłaniały przed wzrokiem jego drapieżnego orła; samica, leżąca z boku, karmiła małego, który przykląkł przy niej i chciwie ssal smaczne mleczko.

Nagle cień wielkiego ptaka zarysował się na równinie, dostrzegło go czujne oko samca i wnet zadrzął, gwizdnął przeraźliwie, uderzył kopytem o skałę, samica się zerwała, małe ssać przestał, i wszystko troje niespokojnie śledzili oczyma groźny cień, przesuwający się w dole. Po chwili antylopy spostrzegły krążącego w powietrzu ptaka i zaczęły skakać, jak szalone, nie opuszczając jednak góry na której się znajdowały.

Orzeł zatrzymał się i zawisnął w powietrzu nieruchomo; on także widział teraz doskonale antylopy i zapewne miał ochotę na biednego malca, który skakał w ślad za matką i usiłował się za nią ukryć. Po chwili ptak zaczął się spuszczać w kierunku pionowym, a gdy się zbliżył do skały, spadł nagle jak strzała na swoją ofiarę. Ale nie zdołał jęj pochwyć, zwinne antylopy wymknęły mu się prawie z pod szponów i orzeł z niczem odleciał w górę.

Ani jedna z trzech antylop nie pozostała na tarasie, gdzie się myśliwym naszym najpierw ukazały. Prawie tak chyż, jak drapieżny ptak, zeskokczyły w tej samej chwili, gdy on szponami dotknął skały i w pierwszej chwili młodzieńcy sądzili, że się ukryły w jakiejś szczelinie, tak samo, jak borsuk, ale spostrzegli je wkrótce, przeskakujące z miejsca na miejsce, wreszcie zatrzymały się na wierzchołku wystającej skały. Orzeł czychał nato widocznie i znów spuścił się z szybkością strzały wprost na malca, którego sobie wybrał na pastwę. Ale ten odskoczył, jak piłka elastyczna i znów uniknął strasznych szponów drapieżnika; wówczas orzeł zaczął krążyć w powietrzu ponad małym skoczkiem, coraz ciaśniej zakreślając koła, a biedne zwierzątko widocznie ustawało, wątle nóżki uginały się pod niem i drżało na całym ciele. Oboje rodzice skakali tymczasem z zadziwiającą zręcznością z jednej skały na drugą, spuszczały się ze stromych wyżyn, jakby na skrzydłach, nie ukrywali się przed wzrokiem orła, chcieli zapewne uwagę jego na siebie odwrócić, ażeby uratować małego. Lecz ptak drapieżny nie zważał na to wcale i gonił wytrwale upatrzoną zdobycz. On także pewnie na pobliskiej górze miał w gnieździe małe orlęta zgłodniałe, które wyglądały niecierpliwie jego powrotu z myśliwskiej wyprawy.

W końcu biedne zwierzątko zupełnie osłabło i zatoczyło się na pochyłości góry, orzeł spuścił się nagle, zatopił potężne pazury w kark swojej ofiary i wzleciał z nią w powietrze.

Żaloszny głos rodziców ozwał się z wierchołka sterczącej skały, zagłuszyły go natychmiast wystrzały kilku strzelb, powtórzyło je echo raz po raz, a rabuś skrzydlaty, nie wypuszczając ze szponów swojej zdobyczy, zachwiał się w powietrzu, zatrzepotał skrzydłami i padł na skałę, jakby piorunem rażony.

XXXVII.

P o l o w a n i e.

Myśliwi nadbiegli szybko do miejsca, gdzie leżały dwa trupy. Szpony orła wpiły się w skórę małej antylopy i nie oderwały się od niej nawet po zgonie drapieżnika. Niejeden z czytelników powie zapewne, że orzeł słusznie został ukarany; lecz jakaż była zbrodnia? Prawda, że zamordował bez miłosierdzia małe niewinne zwierzątko, ale uczynił to z konieczności. Wszakże Opatrzność wskazała mu sama taki sposób do podtrzymywania życia. Gdyby codziennie na żer nie wylatywał, orleńta jego zginęłyby z głodu w gnieździe. Musiał więc biedny ptak pamiętać o potrzebach swojej rodziny, a mógł je tylko zaspokoić kosztem tych dwojga rodziców równie jak i on przywiązanych do swojego potomstwa. Czyż można mu to brać za złe? On wcale nie dla przyjemności i rozrywki polował na antylopy, ale szukał pokarmu, bez którego żadna istota żyjąca na tym świecie obejść się nie może. Silniejsze zwierzęta muszą pożerać słabsze, takie jest prawo przyrody ustanowione przez Boga.

Kto zabija bez celu, dla tego jedynie aby niszczyć twory Boże, ten zapewne źle czyni; prędkiej więc naszych myśliwych potępić było można, gdy strzelali do orła. Ale oni mieli cel mierząc do niego; ptak należał do gatunku który dość rzadko widziany bywa w bliskości osad i mało nawet przyrodnikom jest znany; Hans chciał mu się bliżej przypatrzeć i wypchać go do swojego zbioru.

Antylopy nic na tém nie zyskały że zginął morderca ich dziecięcia; młodzi myśliwi wcale nie przez współczucie dla nich dopełnili tego wymiaru sprawiedliwości. Załatwiwszy się z orłem; zwrócili się do tych biednych zwierząt i zawzięcie je gonić zaczęli. Powiedzmy jednak na ich obronę, że i w tym razie nie szło im jedynie o rozrywkę myśliwską. Nie ręczymy tylko za dwóch najmłodszych, bo ci rzadko kiedy zastanawiali się nad celem swych czynności; ale starsi chcieli najpierw obejrzyć z bliska zwierzęta z którymi się po

raz pierwszy spotkali, a potem dołączyć do swoich zbiorów choć jedną głowę tak osobliwej antylopy.

Mógłby nam kto zarzucić, że antylopy skaczące nie są znów taką osobliwością w południowej Afryce; dość często pojawiają się nawet w bliskości osad na przykładu, a pomimo to bardzo rzadko padają pod strzałami myśliwych. Tak samo jak kozły skalne i giejzy europejskie, z nadzyczajną zręcznością umykają za zbliżeniem człowieka i ukrywają się w niedostępnych zakątkach pomiędzy najdzikszych skałami. Dla tego to giejza skacząca afrykańska, pożądaną jest bardzo zdobyczą dla strzelca, a małe jej rożki w trofeach myśliwskich zaszczytne zajmują miejsce.

Młodzieńcy nasi złożyli najpierw wałną naradę; postanowili wszelkich starań dołożyć, aby upolować samca, który nie przestawał wyskakiwać w najlepsze, a nawet na odgłos strzałów oboje z towarzyszką w potężniejszych jeszcze susach przelatywali z jednego głazu na drugi, aż oparli się wreszcie na płaskiej skale, leżącej bardzo nisko, prawie u stóp góry.

Henryk radził, ażeby je spędzić na równinę, gdzie łatwo można je było dogonić z pomocą psów, bo giejzy skaczące nie zbyt zwinnie biegają po równym gruncie. Pomyśl zdawał się wyborny; dość było spuścić się z góry, aby wypłoszyć antylopy i zmusić je do dalszej ucieczki w tym samym kierunku, a byle raz zeszyły na równinę, ogary poradziłyby sobie z niemi, a myśliwi nie potrzebowaliby nawet na koń wsiadać i przyłączać się do tej pogoni.

Ułożywszy taki plan polowania, myśliwi nasi spuścili psy ze smyczy, ogary pomknęły naprzód, a oni podążali za niemi. Wszystko się zrazu doskonale składało i antylopy byłyby z pewnością padły pod celnymi strzałami młodzieńców, gdyby były tylko zechciały na nich poczekać. Ale czujne zwierzęta spostrzegły zdaleka psy, odbiegły natychmiast na drugą stronę góry i znowu w szalonych płasach wyskakiwać zaczęły po skałach, jak ptaki przelatując po nad urwiskami z jednego wierchołka na drugi.

Szczególny to był widok; giejzy omijały ścieżki i wygodniejsze przejścia pomiędzy sterczącymi głazami, ale przeskakiwały potężnymi susami, spadając nieraz na wązkie krawędzie skał, gdzie jednak zawsze umiały się w równowadze utrzymać.

Góra nie była zbyt rozległa i myśliwi nasi probowali zrazu gonić uciekające antylopy, ale wkrótce się przekonali, że to było niepodobieństwem. Zwierzęta nie dały się podejść i spędzić na równinę, a na górze żartowały sobie z pogoni. Ruchy ich były tak szybkie i gwałtowne, że gdyby nawet

udało się któremu z młodzieńców przybliżyć do nich, nie miałby nigdy czasu wymierzyć, zwierzy-
na w każdym mgnieniu oka ukazywała się w in-
nym miejscu.

Młodzieńcy przywołali psy, które w takich wa-
runkach niewiele im pomódz mogły i zaczęli obmy-
ślać inne środki pochwycenia pożądaney zdobyczy.
Ponieważ plan Henryka się nie powiódł, więc
William przedstawił pomysł odmienny.

— Ponieważ te uparte giejzy nie dają się
ściągnąć na dół, więc poprobuje je podpedzić do
góry, nie dając im odetchnąć. Jak się dostaną
na sam wierzchołek, będą przecież musiały zejść
na dół, a my po drodze czatować na nie będziemy
i wtenczas nie ujdą naszych kulek.

Zabrano się niezwłocznie do wykonania tego
przedsięwzięcia; towarzysze rozdzielili się, mieli bo-
wiem otoczyć górę dokoła, każdy zabrał z sobą
psa, oprócz jednego Klaasa, który poszedł sam ze
strzelbą w rękę, bo, jak pamiętacie zapewne, szó-
sty pies padł ofiarą antylopy błękitnej.

Rozstawiając się tym sposobem, młodzieńcy
rozpoczęli gonitwę z wielką roztropnością. Postę-
powali ciągle do góry, nie spiesząc się zbyt
i nawołując się pomiędzy sobą od czasu do czasu,
gdy który stracił z oczu zwierzynę. Giejzy umy-
kały po swojemu przed pogonią, skacząc z jednej
skały na drugą, kreśląc najdziwniejsze zgyzaki,
ale zawsze kierować się musiały do góry.

Gdy już tym sposobem zabiegły bardzo wyso-
ko, zaczęły się niepokoić; spostrzegły zapewne, że
są ze wszystkich stron otoczone i tracąc głowę,
skakały tu i owdzie, jak koniki polne. W końcu,
zawróciły się nagle i nie zważając już na nic pos-
koczyły obie w stronę, gdzie stał na stanowisku
młody przyrodnik. Hans nie był wprawdzie tak
zapalonym myśliwym, jak William i Henryk, ale
strzelał dobrze, nie omieszkawszy też skorzystać z tej
szczęśliwej gratki, wymierzył, strzelił i położył
trupem samiec.

Samiec odskoczył i znowu pomknął pod górę.
Psy zbiegły się wszystkie na odgłos strzału i zbli-
ka już teraz nacierały na antylopę; biedny zwierz
widocznie tracić zaczynał siły, wyskoczył na wiel-
ki głaz granitowy, sterczący u samej podstawy
owój wysmukłej skały, która się wznosiła na wierz-
chołku stożkowatęj góry i stanął tam nieruchomy.
Ogary rzuciły się do niego z rozwartemi paszcza-
mi, pokazując błyszczące zęby, któremi go roz-
szarpać miały, gdy giejza wyskoczyła znów nagle,
jakby za naciśnięciem sprężyny, spadła na waziu-
tką wystającą krawędź skały i zawisała ponad gło-
wami psów, które jej tam dosięgnąć nie mogły.
Kot chyba tylko potrafiłby się utrzymać na tej
spadziści, gdzie giejza stała sobie bezpiecznie,

jakby urągała swym wrogom. Ale przestraszona
szczekaniem psów i nawoływaniem myśliwych, któ-
rzy skupioną gromadką przybliżali się do niej,
giejza puściła się dalej, czepiając się wystających
krawędzi głazów, wspinała się coraz wyżej i za-
trzymała się dopiero na samym cyplu owęj wy-
smukłej iglicy granitowej, która z daleka wyglą-
dała, jak ostrze strzały.

Na ten widok okrzyk zdziwienia wyrwał się
z piersi naszych myśliwych. Wierzchołek tej
skały w rzeczywistości miał zaledwie dziesięć cen-
tymetrów średnicy, giejza zdołała jednak utrzy-
mać się na tej przestrzeni, zgąwszy się w ka-
błąk i wszystkie cztery nogi ustawiwszy jedną
przy drugiej. W tej chwili łatwobyło do niej
wymierzyć, ale żaden z młodzieńców nie uczy-
nił tego, wszyscy stali jak wryci, nie mogąc oder-
wać od tego osobliwszego widowiska.

Żdawałoby się zresztą, że nie mieli czego się
śpieszyć, zwierzę było teraz w ich mocy, psy zew-
sząd otoczyły sterczącą skałę, na której wierzchoł-
ku usadowiła się giejza skacząca; odwrót był te-
raz dla niej niemożliwy, wcześniej czy później mu-
siała się poddać.

Tak rozumowali nasi myśliwi; ale nie wiedzieli
jeszcze czego dokonać może ta osobliwa antylopa.
Podczas, gdy oni wyobrażali sobie, że im się uda-
ło pochwycić ją, jakby w pułapkę, giejza skoczyła
nagle z takim rozpędem, jak strzała z łuku wy-
puszczona, i przebijając powietrze z głuchym sze-
lestem, nakształt orła, który spada z góry na
swoję zdobycz, zawisała na brzegu granitowej ska-
ły, odskoczyła dalej, jak piłka kauczukowa i w pa-
rę minut już była prawie u stóp góry.

Ucieczka ta była tak szybka i niespodziewana
że myśliwi ocknęli się dopiero w chwili, gdy już
żaden strzał nie mógł dosięgnąć antylopy. Spo-
glądali jeden na drugiego, oniemieli z podziwu
gdy wtém dał się słyszeć huk palnej broni i ujrza-
no z daleka, jak giejza zachwiała się i spadła
martwa ze skały, na której stała przed chwilą.

— Co to jest? kto strzelił? — wołali myśliwi
w najwyższém podziwieniu. Spojrzeli po sobie
i wtenczas dopiero spostrzegli, że ich tu było pię-
ciu; brakowało Klaasa. Malec prześcignął wszy-
stkich towarzyszy, nie zadając sobie żadnego trudu.

Klaas był trochę ociężały, zmęczyła go już ta
bieganina, gdy więc tamci pośpieszyli na odgłos
strzału przyrodnika, on pozostał w tyle i siedział
sobie spokojnie ukryty za wielkim głazem, gdy
nagle ujrzał antylopę o kilka kroków przed sobą.
Zwierzę go nie spostrzegło, sądziło, że jest bez-
pieczne, pozostawiwszy wrogów na górze i odpoc-
zywało po dokonaniu bohaterskiego czynu. Nasz

malec miał strzelbę nabitą w rękę, wycelował, strzelił i trafił w samo serce biednego samca.

Janek zazdrościł trochę towarzyszowi tego świetnego powodzenia i usiłował wmówić w starszych braci, że to był czysty przypadek, nie więcej i że szczęśliwy strzelec zupełnie nie miał się czem chwalić. Czy to był trał, czy zręczność, zawsze jednak Klaas zastrzelił giejzę, którą już wszyscy mieli za straconą i trudno mu się dziwić, że dumny był ze swego zwycięstwa.

XXXVIII.

Zuchwałe Ptactwo.

„Już od trzech dni podróży nasi przebywali rozległe równiny Zuur Weldtu, gdy napotkali po drodze szeroką rzekę i puścili się wzdłuż jej brzegów, kierując się w stronę źródeł. Tu już odmienne krajobrazy rozciągały się przed ich oczyma. Nizka wierzбина i sitowia pokrywały wybrzeże, a po drugiej stronie rzeki widać było rozległe łąki, bujna trawą pokryte; na łąkach rozsypane były, jak wysepki na morzu, kępy pięknych drzew; wszędzie tu było świeżo, zielono, a czysta jak kryształ woda dziwny urok nadawała całej okolicy.

Młodzi podróżnicy rozłożyli obóz nad brzegiem rzeki, nim jeszcze słońce zniżyło się ku zachodowi, chcąc napaść woły i konie tą piękną trawą, nacięli gałęzi wierzbowych i rozpalili ognisko. W czasie tych przygotowań Janek i Klaas przypatrywali się ciekawie licznej gromadce ptaków, które się unosiły ponad rzeką, muskając kiedy niekiedy jej powierzchnię jak jaskółki.

Ptaki te niezbyt były okazałe, wzrostem nie przerosły gołębi, a pióra ich nie odznaczały się świetną barwą, były brunatne, w czerwone centki, z białym i szarawym odcieniem. Gdyby dwaj chłopcy mogli się byli do nich zbliżyć, byłiby obaczili, że nogi i dzioby tych ptaków odbijały od tych ciemnych piór jaskrawą żółtą barwą. Był jednak inny szczegół, nawet i zdaleka widzialny, który zwrócił uwagę naszych chłopaków, a mianowicie ogon głęboko rozdwojony: nie wielkiej potrzebą było znajomości ornologii, aby po tych cechach rozpoznać kanie.

Janek i Klaas tego jednego byli pewni, że to są ptaki drapieżne, co do nazwy, nie potrzebowali głowy łamać, woleli odrazu zapytać przyrodnika, a ten im powiedział, że to są kanie pasorzytne, bardzo rozpowszechnione w całej Afryce. Chłopcy, jak wspominaliśmy nieraz, niezmiernie byli ciekawi wszystkiego, co się tyczy obyczajów ptaków, nie odchodził też od brzegów rzeki i z nad-

zwyczajnem zajęciem śledzili wszystkie poruszenia skrzydlatej rzeszy.

Na pierwszy rzut oka można było sądzić że kanie igrają sobie wesoło bez żadnego celu. Unosiły się lekko w powietrzu, od czasu do czasu, to jedna, to druga zatrzymywała się nagle, jakby zawieszona na niewidzialnej niteczce, a po chwili spuszczała się z szybkością strzały na powierzchnię wody i musnąwszy ją, lub nawet zanurzwszy się nieco, podlatywała znowu w górę. Przypatrując się jednak uważniej, łatwo było odgadnąć przyczynę tych dziwnych ruchów. Ile razy który ptak dotknął wody, unosił ztamtąd w szponach małą rybkę, o błyszczących łuskach. Kanie łowiły ryby, nie dla zabawki wcale jak to się zdarza niektórym rybakom, zwłaszcza bardzo młodym, ale z potrzeby.

Ryby nie są jednak jedynem pożywieniem kani pasorzytnej; ptak ten jest prawie wszystkożerny, pożera drobne zwierzątka, ptaszęta, płazy, nie gardzi też i padliną, gdy mu głód dokucza. Ale rybki najlepiej mu smakują i zamieszkując w okolicach obfitujących w wodę, zawsze się trudni głównie rybołówstwem.

Klaas i Janek mieli wielką ochotę zastrzelić parę kań, długo też czatowali na nie na brzegu rzeki, ale żaden ptak nie przybliżył się do nich, powrócili więc do obozu, gdzie podwieczorek na nich czekał.

(D. c. n.).

Rozwiązanie zagadki historycznej,

zamieszczonęj w N-rze 22 Wieczorów Rodzinnych, nadesłane przez Jana W. ucznia gimnazjum z Lublina i uznane za najlepsze przez redakcyę, która przysądziła za nie nagrodę, książkę pod tytułem: *Młodzi Żeglarze Mayne Reida*.

Kazimierz III *Wielki*, po śmierci ojca Władysława Łokietka, objął rządy nad państwem zjednoczonem przez niego po długich podziałach i panował bardzo pomyślnie od r. 1333 do 1370. Mówiono o nim, iż „zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną“.

Chcąc się zabezpieczyć od wojny z krzyżakami, których klęska, zadana przez Łokietka pod Płowcami w r. 1331, nie dość poskromiła, odstąpił im Kazimierz umową Wyszehradzką w r. 1335 Pomorze, (zabrane przez nich w r. 1309) jako „wieczną jałmużnę“ a otrzymał nawzajem zapewnienie spokojnego posiadania Kujaw i Dobrzyń.

Jan, król czeski, z domu Luksemburskiego, rościł sobie prawa do tytułu króla polskiego, jako następcę Wacława czeskiego, który i w Polsce panował od r. 1306 do 1306. Kazimierz umową Wyszehradzką zrzekł się na korzyść Jana praw do Szląska, który w r. 1103 oddał Bolesław Kędzierzawy synom wygnanego Władysława II-go, pod warunkiem, że w razie wygaśnięcia linii męskiej ich rodu, Szląsk powróci do Polski. I zrzekł się także Kazimierz na rzecz Jana księstwa Płockiego. Całe Mazowsze jeszcze w roku 1207 stało się udzielnem księstwem, gdy Leszek biały oddał je bratu swemu Konradowi z warunkiem, że po wygaśnięciu rodu jego powróci do Polski. Potomek tegoż Konrada Mazowieckiego, Wacław książę Płocki, uznał się czeskim hołdownikiem, a Kazimierz potwierdził to zrzeczenie się praw swoich do tego księstwa.

Po śmierci Bolesława, księcia ruskiego, Kazimierz przyłączył do Polski ziemie halicką i ruską, a zapewniwszy sobie przymierzem z Litwą spokojne posiadanie tych prowincyi, podniósł w nich rolnictwo, handel, zaludnił je, budował w nich miasta, nowym osadnikom nadawał przywileje, a dawnych mieszkańców przywiązywał do ich siedzib, zapewniając im opiekę, co do praw i religii.

W r. 1347 na sejmie w Wiślicy wydał Kazimierz Statut Wiślicki, zbiór praw, obowiązujący całą Polskę. Wybrano je z praw dawniejszych, które były osobne dla Wielkopolski, osobne dla Małopolski.

W r. 1364 założył na przedmieściu Krakowa Bawole Akademią, której fundusze zabezpieczył na żupach Wielickich. Kraków, gdzie Łokietek odbył po raz pierwszy koronację, stał się za Kazimierza prawdziwą stolicą, ogniskiem rządu.

Przez roztropne i pożyteczne dla kraju rządy, zasłużył Kazimierz na przydomek *Wielkiego*. Przez sprawiedliwość, łaskawość, hojność i opiekę nad słabszymi, uzyskał zaszczytną nazwę *króla chłopsków*. Był także szczególnym opiekunem żydów.

W osobie Kazimierza wygasł w r. 1370 dom Piastów, panujący w Polsce od r. 962. Następcą po sobie mianował on Ludwika, syna siostry Elżbiety, poślubionej Karolowi Robertowi, królowi węgierskiemu.

(Oprócz tego, bardzo dobre rozwiązania nadesłali: Lińcia P. z Młoszowa, Seweryn H. z Radomia, Edward Ch. z Warszawy, Paweł P. z Kurozwęk, Natalia W., Helena i Marya Ap. z Działkówka, Antoni H. z Warszawy, August R.

z Warszawy, Stefania K. z Warszawy, Jadwiga Sch. z Warszawy, Irena Maréné z Warszawy, Feliks Z. z Warszawy, Marya P. z Włoczewa, Jadwiga M. z Falencic, Janina Z. z Charkowiec, Adaś Cz. z Lecieszyna, Alina, Klara i Marya Je, Natalia O z Pragi, Bronio N. z Warszawy, Antoś J. z Niszowiec, Helenka K. z Horbasowa i wielu innych, których wyliczyć niepodobna).

Lamigłówka głoskowa

ś
b d
ć g o
m d o w
m g o w ó

Ułożyć z tych rozsypanych liter znane przysłowie.

Lamigłówka kryształowa (E. K.).

- 1) Litera.
- 2) Roślina.
- 3) Najlepsza opiekunka.
- 4)
- 5) Stopień wojskowy.
- 6) Głoska.
- 7) Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe wyrazy utworzą nazwisko znakomitego malarza.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 25-go.

Gwiazdki botaniczne:

S		W		T
	J	A		N
		E	W	A
O	S	T	R	Z
		A	Z	P
	M		Y	J
A			N	K

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. St. Paw. w Ekaterynosławiu. Omyłki sprostowane zostały według życzenia zaraz w numerze następnym. Weisnęły się one równie jak inne, w czasie nieobecności osoby kierującej częścią literacką i pewno nie powtórzą się więcej.